

I. 597.367

WYDAWNICTWO dla MŁODZIEŻY „AWIW“.

ANDA ECKERÓWNA.

5 i 31  
Historja o moktej Ciotce Słoci  
i o jasnem Słoneczku Oczku

Bajka jesiennego popołudnia.



RYŚ. HELENA GOLDFISZERÓWNA

NAKŁADEM TOWARZYSTWA „KOŁO KOBIET ŻYDOWSKICH“  
LWÓW, PLAC STRZELECKI 4.





Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001007933965



## I.

Niema drugiej tak dobranej pary na świecie. Mieszkają w śmiesznym, małym, drewnianym domku, który przybito do okiennej ramy w dzieciennym pokoju. Domek ten ma śliczny, rzeźbiony daszek z kominkiem, którym nigdy jeszcze nie wzlatywał dym, bo lokatorowie nie gotują; ma dwie zielone szybki w oknach i mruga niemi figlarnie jak kotek błyszczącymi oczami. A dokoło domku biegnie niski parkanik z cienkich patyczków, taki zabawny i delikatny, że lada okruszyna poradziłaby sobie z nim mogła. Widocznie mieszkańcy nie boją się złodzieja... W całej chatynce są tylko dwa skromne pokoiki, z których zawsze jeden jest otwarty, bo gdy jejmość Ciotka-Słota siedzi wewnątrz, to Słoneczne Oko stoi na progu. Do każdego z mieszkanek z osobna wiedzie malutka, zgrabna furteczka, z czego domyśleć się można, że sąsiedzi z barometru, pani Ciocia-Słocia i pan Słoneczne Oczko, niezbyt się lubią i nie chcą się spotkać za nic w świecie!...

Ale chyba najdziwniejszym z wszystkich cudów drewnianej chałupinki są właśnie te dwie furteczki, zgrabne i małe... Dzieci przysięgłyby, że jeśli nie cała chałupka jest zaczarowana, to owe furtki zaklęte są z pewnością! Bo pomyślcie tylko: Gdy które z mieszkańców chce się wydostać na świat boży, małe drzwi otwierają się same z głośnem „klap“, a osóбка wychodzi i staje na deszczulce przed chatką.



Taka już tajemnicza, dziwna chałupina i tacy dziwni sąsiedzi... Niechno złote słońce odsunie z twarzy woalkę chmur i zerknie radośnie z nieba, a wnet rozlegnie wesołe „klap“, odmyka się bramka z mieszkanka na lewo i ze środka wyskakuje raptem poczciwe, roześmiane Słoneczne Oczko herbu „Uśmiech słońca“, zdejmuje z główki tyrolski kapelusik z zielonem piórem, a w ręce ma tabliczkę z napisem:

Dziś pogoda!

A trzeba wam wiedzieć, że Słoneczne Oczko jest miłym chłopczykiem z zadartym noskiem, z trzema lokami na czole, o oczach tak błękitnych, jak poranne, majowe niebo. Nosi krótkie spodenki, krasą kurteczkę, na okrągłym brzuszku przepasał się szerokim, żółtym rzemykiem, a na nogach ma trepki różowe, tak różowe, jak jego własna, uradowana buzia. A zahartował się nasz dziarski kawaler tak mocno, że tylko w skarpetkach, z gołymi kolanami chodzi. Nic więc dziwnego, że dzieci pokochały pocieszoną figurkę z barometru i zdaje mi się, że pan Słoneczne Oczko nietylko się uśmiechać potrafi, ale śmieje się na całe gardło szczerze i głośno, śmieje się naprawdę i treluje tak, jakby ktoś pękiem srebrnych dzwonków dzwonił i

„Jestem człeczek z barometru  
Herbu „Uśmiech słońca“  
Chcę, by słońko grzało wiecznie  
Zawsze i bez końca!

Mam błękitne, wielkie, dobre  
Roześmiane oczy  
Umiem nagle z chałupinki  
Przed płotek wyskoczyć!



Umiem stuknąć w maluteńką  
Zgrabną moją furtkę  
Elegancik ze mnie znany,  
Patrzcie na tę kurtkę!

Wdziewam zwykle pantofelki  
Idąc na podwórko  
A przy czapce mam muszelki  
I pstre, pawie piórko!

Nienadarmo zwać się muszę  
„Imć Słoneczne Oczko“  
Bo mam dużo słońca w duszy  
Bo mam złote loczki!

Kocham słońce, kiedy jasno  
Ciepłym blaskiem świeci  
A wy, czy mnie nie kochacie  
No, powiedzcie dzieci?!

Tra-la-la Hej! Hej! Hej!  
Świeć słoneczko, świeć i grzej!“

Kto tylko umie usłyszeć piosenkę Słonecznego Oczka, ten radość w sobie czuje, radość i słońce. A tak mu dobrze i lekko, jakby mu w serce wyrosły anielskie skrzydła. Taką to moc posiada śpiew małego człowieczka z zaczarowanej chatynki. Szczególnie cieszą się wtedy dzieci! Ach! Ile cudownych niespodzianek, ile zabaw i uciech je czeka! Można wtedy pójść na spacer do złotego, jesiennego parku, można zbierać kasztany na plantach, zszywać festony, szarfy i girlandy ze spadłych liści, można puszczać papierowe łódki na zamiejskim stawku, można... Ale co tu dużo mówić! Oleś, Zosia i najmłodszy Józek ubóstwiają wprost



istotę w tyrolskim, na bakier ułożonym kapeluszu i myślą: „Szkoda tylko, że jesteś malutki!“

\*

Inaczej bywa, gdy bramka z mieszkanka na prawo odskoczy z głośnem „klap“ i na deszczułkę przed domkiem wyjdzie drugi lokator — pani jejmość Ciotka-Słota herbu „Parasol na Deszczowem Polu“. Domek mruży oczy złośliwie, jak podrażniony kot, Słoneczne Oczko siedzi potulnie w swoim pokoiku, a Ciocia-Słocia otwiera sennym, leniwym ruchem czarny, ponury parasol, posepnie patrzy na dziecięce głowy przytulone do szyby, a potem zjadliwie mruczy i burczy pod nosem:

„W herbie mam strumienie deszczu  
Jestem Pani z barometru  
Nazywam się Ciotka-Słota  
Lubię bardzo szare deszcze  
Wiatry, mgły i chlupot błota.

W herbie mam strumienie deszczu  
I parasol czarny, starą  
Kaszlę, kicham, czuję dreszcze  
Nie rozstaję się z katarem...

Noszę chustkę z grubej włóczki  
Wielkie buty i kalosze  
A pogody, blasku słońca  
Nienawidzę i nie znoszę!

Mam kamasze mokre, ciężkie  
Przemoczone mam pończochy  
Gardło boli mnie czasami  
I w krzyżu mnie kłuje trochę.



Kiedy wyjdę przed chatynkę  
Wnet świat cały w deszczu moknie  
Dzieci nudzą się i kłócą  
Albo mażą się przy oknie...

Nienadarmo mnie nazwano  
Jejmość Pani Ciotka-Słota  
Bo mam płaszcz na watalinie  
I ubóstwiam chlupot błota.

Chcę przemoczyć świat do nitki  
Będzie nudny, zły i brzydki!..."

Jak myślicie, co się dzieje wtedy z sercami  
dzieci, gdy Ciotka Słota mruczy swoją przykrą,  
gburowatą piosenkę?

Dzieciom staje się tak ciężko i smutno, jakby  
im ktoś zgasił w duszyczkach wszystkie blaski,  
światła i promienie rozdmuchane przez Słoneczne  
Oczko, jakby się im do serc wsączała powoli  
lepka, leniwa nuda, ciekąca ze słów Ciotki Słoty...  
— — A w pokoju czyni się buro i ciemno. — —

— Na dworze chodzi Mrok i prószy w okna  
popiołem. — —

— Z kątów wylażą postrzępione cienie, obej-  
mują sprzęty w kosmate ramiona, a potem szarą  
chustką zakrywają wszystko. — — — — —

— Obrazki na ścianach z lękiem cofają się  
w ramy i bledną. — — —

— Klomby i bukiety więdną na dywanie, a fi-  
gurki z porcelany krzywią się kapryśnie. — — —  
Zegar skrzeczy zardzewiałym, złym głosem:  
„Deszcz—deszcz—deszcz“. — Na parapet okna  
spadają ciężkie, szklane krople i rozmnażają się  
na szybach, jak długo wstrzymywane łązy.



— Kredens i szafa skrzypią gniewnie, a lampa kiwa głową w takt spadających kropel: „Deszcz-deszcz-deszcz“. — — — — — Potem coraz gęściej i głośniej lecą krople, coraz ciemniej i straszniej w pokoju. — — —

Wiatr stęka w kominie, aby zbudzić wszystkie zle sługi Pani Ciotki Słoty.

— A ulicą wloką się ludzie w kaloszach i niosą czarne parasole, bo wtedy na całym świecie obowiązuje moda Ciotki Słoty, która zadowolona z tego, co się dzieje, przykucnęła przed domkiem za oknem, a dzieci słyszą jej ochrypy, zewsząd płynący pomruk:

„Nigdy, nigdy nie pozwolę  
Chlup... Chlip... Chlap...  
Schować czarne parasole  
Chlup... Chlip... Chlap...  
Póki żyję, zawsze noszę  
Chlup... Chlip... Chlap...  
Pelerynę i kalosze  
Chlup... Chlip... Chlap...  
Ponad wszystko w świecie wolę  
Moje drogie parasole  
Chlip... Chlip... Chlap...“

Dzieciom jest coraz markotniej, coraz bardziej nieswojo. Dokoła nich szara głębia pokoju, a przed nimi blada, zamazana tafla szyby, za którą majaczą sylwetki ludzi z parasolami. Pod wieczór, te sylwetki i kontury stają się nieuchwytnie, chwiejne i rozlane, niewyraźne i słabe. — —  
A Ciotka Słota śpiewa sennie i śpiąco kołysze się w takt spadających kropel:



„Deszczyku, deszczyku szary  
Syp kropelkami bez miary  
Syp niemi gęsto i długo  
Deszczyku — szary mój sługo...”

\*

...Siedzi Zosia zła i nadasana przy oknie i widzi za szybą ulicę zachłyśniętą deszczową wodą. — — Napróżno lala-krakowianka zerka w stronę Zosi i kusi tak pięknie, jak tylko lalki umieją:

„Pobaw się ze mną, Zosienko!

Takbym chciała ubrać nową sukienkę!

Takbym chętnie zjadła talerzyk zupy w moim tekturowym pokoju!“ Ale gdzież tam! Zosia nawet nie spojrzała na swą jedynaczkę. Siedzi nieruchomo i liczy uparcie, naprzekór całemu światu lzy spływające po szybie. Nie pomoże nic lalka-krakowianka, ani książka pełna kolorowych obrazków i uciesznych historyjek. Nic nie zdoła udobruchać Zosię, która wpatruje się jak urzeczona w okno, we figurkę z barometru, w jej gorzką, cierpką twarz, płaskie buciory i płaszcz z kapturem ociekający nitkami deszczowej wody... — — I oto spełnia się czar Ciotki Słoty:

Zaklęcia jej wkradają się w duszyczkę i serce Zosi. Z mokrych pończoch i starego parasola idzie ku dziewczynce jakaś zła, silna moc. Coraz wyraźniej układają się usta w podkówkę, powieki robią się coraz cięższe, ciało oblepia gęsta, kleista maź nudy, a w uszach dźwięczą nieznośne, uparte słowa:

Nigdy, nigdy nie pozwolę

Schować brzydkie parasole

Chlip... chlip... chlap...”

\*



...Późnym wieczorem wrócił do domu Oleś, który zawsze w tej porze kończył u kolegi wspólne odrabianie lekcyj. Chłopczyk wszedł do ciemnego pokoju i niemało się zdziwił, widząc jak to Zosia siedzi przy oknie i melancholijnie, smętnie spuściła jasną główkę. Buzię ma mokrą od łez, oczy wbiła w ziemię i... o zgrozo! — ciemność w pokoju nie przeszkadza jej wcale, nie żal jej lalki-krakowianki beczynn timer siedzącej pod stołem, a gliniane miseczki i dzbanki rozsypane na podłodze nie obchodzą jej ani odrobine! — Oleś cichutko zaświecił lampkę i podszedł do siostrzyczki. Ale Zosia nie ruszyła się nawet. Wtedy chłopczyk, rozumiejąc, że niełatwa sprawa z nachmurzoną, małą beksą, zabrał się do naklejania swoich najdroższych marek, bo niedawno dostał nowe, prześliczne album. — Teraz na odmianę Zosia mocno się zdziwiła. Nie rozumiała raźnego, rzeźkiego zapału brata; wogóle nie mogła pojąć, że można się wziąć do jakiejś pracy? Jakże Oleś może, jak gdyby nigdy nic, ochoczo i wesoło nalepiać marki?

A Oleś, który nie spojrział dotąd w gorzką twarz Ciotki Słoty i nie uległ jej złemu czarowi, z zadowoleniem, z radością układał kolorowe kwadraciki marek w długie, barwne pasma.

„O, popatrz-no, Zosiu! To jest pyszna marka! Wspaniała! Nadzwyczajna!

Ten Lolek co to, wiesz, ma takie śliczne, rzadkie marki, chciał mi dać za nią trzy rondowe pióra!

A Julek, ten gruby, co ma najładniejszy zbiór w całej klasie, napisał mi liścik dziś, na łacinie, a zgadnij: co w nim było? Zgadza się i chętnie ją wymieni! No, zgadnij jeszcze raz, coby za nią dał? — Cały arkusz z pilotami do wycinania! Aha!



A za tę dałem Julkowi dwie prawdziwe „Nowe Gwinee“!

A ta...

Ale Zosia nie pozwoliła mu skończyć, tylko skrzywiła się brzydko i wzruszyła ramionami i niewieleby może brakowało, a byłaby wystawiła Olesiu język. A gdy Oleś pokazał jej jeszcze szkolny niemiecki zeszyt z czerwonym, wielkiem: „bardzo dobrze“ — rozdrażniona mała płaksa odtrąciła go i krzyknęła:

— „Czy będziesz już wreszcie cicho, ty wiercipięto jeden!“

Bn-n-n... Zawsze ci się zdaje, że wszyscy muszą handlować markami. Un-n-mm...“ — i z niebieskich oczu Zosi puściły się znowu dwa cienkie sznureczki kwaśnych i słonych łez...

Tego już było Olkowi za wiele. Z pogardą i wyższością mężczyzny, mrużąc coś pod nosem o głupich, niewychowanych dziewczynkach, wyszedł do drugiego pokoju, gdzie na stoliku stał jego skarb ukochany: drogie, najdroższe radjo. — A domyślacie się chyba, że dobrze zrobił, bo mógłby przypadkiem zobaczyć twarz Ciotki Słoty, a wtedyby i z Olkiem źle było!

Bo taką już jest potęga Ciotki Słotki, że kogo ujrzy, kto spotka się z jej posepnym wzrokiem, dla tego wszystko co dobre i miłe na świecie, istnieć przestaje, temu gasną w sercu promyki słoneczne, a deszczowa woda żalu i złości wzbiera w nim tak długo, póki się nie przeleje oczami... A kuma-Słota zeszła tymczasem na podwórko przed barometrem i burczała Zosi nad uchem jak natrętna, uprzykrzona mucha;



„Bardzo rada, gdy zobaczę  
że kapryśne dziecko płacze  
Tu mój deszczyk smętnie szlocha  
A tam znów się maże Zocha...“  
Chlip... Chlip... Chlap...

— — — Wreszcie zły, mokry dzień miał się ku końcowi. Mama położyła Zosię do łóżka i długo, długo trzymała chłodną rękę na gorącym czole dziewczynki. — — Za oknem łkało bezustannie, a szklane krople ukołysały do snu dziecinny pokój.

O północy nadpłynął zdaleka w różowej łódce srebrno-zielony księżyc. Ciekawie zaglądnął do dziecinnego pokoju, a potem cicho na szybie położył świetlisty bilet wizytowy.

Mrużył przy tem jedno oko i uśmiechał się od ucha do ucha, jak to czyni pan nauczyciel w zosiej szkole. Tak przynajmniej wydawało się Zosi, która zbudziła się i doskonale widziała, co się święci. — — —

„Dobry wieczór wam, kochane buty! — Cóż tam słyhać nowego?“ — zapytał Księżyc i potrząsnął złotym, świetlistym warkoczem, który nosi w samym środku łysej głowy, jakby był szlachetnym, chińskim mandarynem z dostojnej rodziny Li-laj-Pe.

— Et — mruknęły zniechęcone buciczki Zosi.

„Nasza mała pani ani razu dziś nie wyszła na spacer, bo padał deszcz, a my musiałyśmy nudzić się z nią razem... Nawet sznurowadeł nie schowała porządnie! Popatrz, jak je ze mnie powyciągała ta nieznośna Zosia! — poskarżył się but z lewej nogi.

Jakże można tak lekceważyć moje jelita? — O! leżą tam w kącie!...



„Aha — ze zrozumieniem odpowiedział Księżyc i podniósł mądrze w górę skośne brwi.

„Czy wasza pani była bardzo dziś nieznośna?“

„Nieznośna?“ — zachichotały pytająco buciki. — „To jeszcze za słabo określone! Powinniśmy Ci były powiedzieć: okropna! — Płakała, nadeła się, kaprysiła, dokuczała sobie, nam, całemu światu, aż wkońcu raczyła zasnąć. Zapatrzyła się w Ciotkę Słotę, ale nie musiała tego zrobić... Mogła przecież sobie znaleźć jakieś zajęcie“ — stękały buciki zosine i kilka razy pociągnęły płaczliwie nosami...

„Zaraz wyjaśnimy tę historję — szepnął czci-  
godny mandaryn z rodziny Li-łaj-Pe i błysnął  
swem czarodziejskiem, jedwabnem kimonem. Po-  
tem podniósł w górę swój niedawno z Pekinu spro-  
wadzony różowy lampjon prześlicznie malowany  
w srebrne pagody i oświetlił nim dziecinny pokój.  
— — Rety!

Co to był za widok! — — — — Teraz dopiero  
pokazało się, że lala-krakowianka złamała nos  
o stołową nogę, że książka padła na grzbiet  
i chwytła się za zgniecione, pomięte kartki, jęcząc  
z cicha jak najniezszczęśliwszy inwalida, że w sza-  
fie z zabawkami wszystko przewróciło się „do góry  
nogami“ (jak mówi kucharka Antoniowa), bo Zo-  
sia wieczorem wciąż wyjmowała najrozmaitsze  
rzeczy i wrzucała je potem bezładnie na półki. —  
A zaczarowany lampjon księżycowy rzucił do-  
koła jaskrawe różowo-złote światło, że aż ser-  
duszko Zosi kurczyło się ze wstydu.

„Posłuchajcie-no, buciki — powiedział nagle  
Księżyc, kończąc przegląd pokoju.



„Spłatom tej małej dobrego figla chińską metodą! Zobaczycie, jak będzie żałowała wczorajszych kaprysów! Ho! Ho!”

Stuknął w ścianę srebrnymi pałeczkami, których w Chinach używa do jedzenia ryżu na polach ryżowych i odrazu skądś wyskoczyło czterech chińskich krasnoludków z lampjonkami!

— „Co rozkażesz, Księżycu?” zapytały chórem krasnoludki księżycowe. A Księżyc nachylił się do czterech urwisów, szepnął im coś łobuzersko do ucha, a one okręciły się na piętach w swoich pstrokatych kimonkach, klapnęły sandałkami i przydeptały sobie swoje złote warkoczyki. W tej samej chwili wjechała oknem srebrna lektyka. Krasnoludki chwyciły jej srebrne drążki, pomogły wsiąść do niej Księżycowi i cały orszak zniknął niewiadomo którędy — fin-n! — jakby uleciał na niebo.

I teraz stała się rzecz straszna i dziwna. Zosia póki żyje nie widziała nic podobnego: Na brukach i dachach lśniących od deszczu zastygły zielone smugi księżycowego światła, na gzymsach zachwiały się misterne koronki dziergane z promieni Księżyca, rynny bulgocące wodą zajaśniały srebrną polewą, na latarniach i drutach telegraficznych tańczyły srebrne ogniki, a w strugach wody, w deszczowych kropelkach przelewały się księżycowe blaski. Przez chwilę ulica, zmieniona w królestwo Księżyca, wyglądała jakby ją ktoś posypał brylantowym pyłem, jak jeden klejnot z kryształu, turkusu i szmaragdu. Zaświeciła, roziskrzyła się, zamigotała i błysnęła jak wielka bania mydlana, aż naraz wszystko zgasło. Tylko w oknie domek barometru począł w ciemnościach żarzyć się dziwnym modrem światłem... Ożył nagle płotek



i mały komin, ożyły szybki w oknach, a na progu w bladej poświacie stoi... Ciotka Słota. — Zrazu stoi, a potem twarda figurka mięknie i ożywia się, próbuje się poruszyć jak ktoś, kto wrósł w ziemię, zbudzi się niespodzianie. W zielonawym blasku widać doskonale jej czarną pelerynę z kapturem, stary parasol i podarte kalosze.

A twarz Kумы Słoty, twarz o tępych, zgasłych oczach i zaciśniętych ustach ożyła także: stała się jeszcze bardziej zła i tępą.

W zielonawym, zimnym blasku powoli schodzi z barometru, powoli, jakby jeszcze próbowała nóg, staje na parapecie okna, cicho je otwiera i wchodzi do dziecinnego pokoju.

W tej samej chwili wybiegło z domku Słoneczne Oczko i nie zważając na mokre piórko w kapeluszu i czerwone pantofelki, zapukało do mieszkania sąsiadki i zaczęło prosić i błagać cieniem głosem: „Nie! Nie! Ciotko Słoto!

Nie rób tego!

Czemu zawsze dzieciom świat zasłaniasz swoim zwykłym starym parasolem?! Dlaczego zabierasz im wiarę w słońce!? Nie, Ciotko, Ciociu, Ciotucho Słoto, wracaj!

Kumo, Kumciu, wróć!“ — —

Ale ciotka Słota była już w środku.

Drzwi skrzypnęły za nią cicho... Zamknęła je i weszła.

Weszła ociekająca strumieniami wody, powolnym, sennym ruchem, rozpięła parasol, obryzgując przytem ściany.

Dokoła niej utworzyła się ciemna kałuża. Gdy w tem kaptur jej, płaszcz, kalosze i parasol zaczynają rosnać, wydłużać i grubieć. — — Kto to?

Co to?





Leniwym, drewnianym krokiem zbliża się ku łóżku Zosi, a wodne strugi miarowo spływają z niej na podłogę. Nie jest już figurką z barometru, ale żywym, do nitki przemokłym człowiekiem. — Nachyla się nad Zosią i robiąc kwaśną, brzydką minę, skrzeczy:

„Uff! A tom się zmęczyła na tej psiej pogodzie! Jestem tak strasznie mokra, że miałabym wielką ochotę położyć się do twego łóżka...

Księżyc odczarował mię na przeciąg tej jednej nocy... Nuże! Ruszaj się śpiochu!

Masz tu mój parasol, masz tu moje kalosze i spróbuj mię zastąpić za oknem! Tak mi się wczoraj uważnie przypatrywałaś, że śmiało mogłabyś mnie wyręczyć! No, jazda!

— — — I nie pomogło błaganie przerażonej Zosi. Musiała wyjść z ciepłego łóżeczka, musiała wciągnąć niewyciśnięte kamasze i pończochy, rozmokłe, gąbczaste buty, rozlazłe kalosze i wstrętą peleryną z łata na plecach, co razem stanowiło tak dobrze znany dziewczynce strój Kумы Słoty. — Potem chwyciła w ręce galaretowaty parasol z drewnianą rączką i... szups! już jej niema w pokoju! A gdy tylko znalazła się na deszczulce za oknem, poczuła, że staje się małą, malutką, że kurczy się i zwęża, ściąga i ścieśnia. Ręce stają się twarde, chude i kruche, stopy robią się płaskie, jakby miały być podstawką figurki. Całe ciało drętwieje i trzeszczy i wrasta w deszczulkę. Jasne warkoczyki zniknęły, rumieńce wsiąkają w skórę, oczy gasną i nieruchomieją, jak oczy Ciotki Słoty. Równocześnie w nosku zakręciło, załaskotało...

A psich! A psich! — Zosia dostała kataru.

A tam, gdzie dziewczynka miała serce, jest teraz wydrażony otworek, a w nim jakieś druciki.



Zosia przestaje czuć, słyszeć, widzieć i rozumieć. Wiatr gwizdże, świszczę i chichocze, targa parasolem, bije i szczypie jak złośliwy ulicznik... Deszcz zawodzi, szłocha, jęczy, żali się i woła przeciągle... Krople i strugi wody ociekają po kapturze, parasol wymyka się z rąk, błoto wciska się w buty, a śliskie dreszczyki zbiegają z pod płaszcza w dół, pod pończochy. — W tem Zosia, która o niczem nie wie i nic nie czuje, bo już Zosią być przestała, na jedną minutkę przypomina sobie, kim była i co się z nią dzieje... Święty Boże! Gdyby tak mogła wejść do domku...

Z trudem odwróciła sztywną głowę i zajrzała do chatki: Wewnątrz siedzi suche i uśmiechnięte stworzonko w tyrolskim kapelusiku z piórkiem... A Słoneczne Oczko poprawia sobie rzemyk na brzuszku i jakby się nic nie stało, pyta uprzejmie:

„To ty, Zosiu!

A tobie czemu się tak wydłużyła mina?

I o dziwy! Słoneczne Oczko, to nikt inny, tylko braciszek Oleś, czego przedtem nie widziała wcale... — — Chciałaby wejść, chciałaby coś powiedzieć, ale śmieszny, miły człowieczek znika gdzieś tak prędko, że tylko mignęło tęczowe, pa-wie piórko.

— Więc jakże? — Ma wiecznie stać w barometrze czarami Kумы Słoty zmieniona we figurkę?

Zawsze ma nosić dziurawe buciory?

Parasol pluszczący wodą?

Włóczkowe pończochy?

Chustkę do nosa z monogramem Ciotki Słoty?

Brrr... Brrr...



Zawsze ją będzie splukiwał deszcz, szczypał wiatr i kasał ziąb? — Zawsze będzie kichać i kaszleć? — Nie! A psich! O jak dobrze było w ciepłym, miękkim łóżeczku! — —

Mogła wczoraj tak dobrze bawić się lalką-krakowianką!... Mogła czytać o „Krasnoludkach i sierotce Marysi“, albo pomagać Olkowi przy naklejaniu marek.

A teraz? Co zrobić teraz? Co będzie, jeśli już nigdy nie zostanie sobą — Zosią? — uczenicą drugiej klasy? — Co będzie?

\*

...Na świecie czyniło się coraz jaśniej i ciszej. Księżyc zawstydział się, zbladł i zniknął w szparze między dwoma domami. Tylko kilka gwiazd liljowo-złoty błyskało jeszcze na niebie. Z za mgły wychyliły się zaspane sąsiednie dachy. W latarniach dopalało się światło nikłe i blade. Deszcz przestał szlochać, a tylko od czasu do czasu popłakiwał bezsilnie i ostatnie, słabe krople rozmazywał na chodnikach. Wiatr ucichł zmęczony, siadł na kasztanach i czekał na słońko, aby mu ogrzało sine, zmarznięte ręce. Z kominów powlókł się pierwszy, poranny dym i przesłonił złoto-liljowe gwiazdy, które się spóźniły i nie zdążyły jeszcze uciec wraz z księżycem. — Zosia stała za oknem i patrzyła tępo, bezmyślnie. Cóż ją to może obchodzić, skoro nigdy nie będzie prawdziwą Zosią? — Czowała, że nogi bolą, stopy pieką, a w serduszku, w małym zmniejszonym sercu, które się nagle znalazło w wydrażonym otworku, niema nic, prócz wielkiej tęsknoty za prawdziwym domem, prawdziwym Olesiem, mamą i dzieciennym pokojem. I spostrzegła jednak, że już jest lepiej niż



przedtem, że czuje, jak w niej coś puka i kołacze, czego nie było: serce.

A ulicą tymczasem szły dzieci do szkoły, dzwoniły pierwsze czerwone tramwaje, okna przecierały oczy i otwierały je nagle właśnie wtedy, gdy rolety zrywały się w górę, jak żywe powieki... Przed bramę zajechał wózek z mleczarni. Na rogu ze skrzynki pocztowej wyjmował listonosz listy. Podstawia pod szerokie jej usta torbę, a pocziwa skrzynka wypluwa wszystkie listy i kartki, białe, żółte i błękitne. Kucharka Antoniowa idzie z koszykiem na rynek, czarny kominiarz błyska w uśmiechu śnieżnymi zębami i mówi do pana dozorca: Dzień dobry, panie Strączek! Dzień dobry! — I nim pan Strączek odpowie, już zjawia się zamiatacz z rudą miotłą i woła szeroko, wesoło, zamaszyście: „Aj! Co tu dziś roboty! —

A z piekarni wybiega pierwszy ubielony mąką piekarczyk z koszem świeżych, rumianych bułeczek. Idzie zawadjacko, pogwizduje przez zęby i depce mokrą od deszczu ziemię. Rynny obryzgały mu resztami deszczówek nogę, ale gdzieżby się tem piekarczyk martwił! Tak maszeruje radośnie, że omal nie wywrócił chłopca z gazetami. Ale najładniejszym chyba z tego wszystkiego jest niebo przejrzyste i szafirowe, jak oczy, które niedawno płakać przestały, a już przez łzy uśmiechają się i świecą!... A ziemia na plantach pachnie wilgocią i wonią spadłych liści, które wiatr postrącał niecnota...

Wtedy Zosia, mała zaczarowana dziewczynka, czuje, że chciałaby się zerwać i biec niewiadomo dokąd, chciałaby cieszyć się razem z wszystkimi, że pragnęłaby uścisnąć świat cały: piekarczyka, kominiarza, chłopca z gazetami, Anto-



niową, pana Strączka i... i... wszystko! Chce wołać, chce prosić piekarczyka o pomoc, ale jakaś mocna, złowroga siła nie pozwala na to. Zresztą czyby jej mógł kto poradzić? Gdyby ktoś usłyszał, pomyślałby może, że mu się tylko zdaje, bo skądżeby figurka z barometru wołać umiała? Trudno, niema rady. Wie, że nie jest już drewnianą istotą, że jest już Zosią, ma serce i duszę, ale widocznie musi stać tu zawsze z parasolem... latami... wiekami, przez całe życie, aż do Dnia Sądneho...

Gdy wtem na kałużę przed domem padła złota strzała słońca i rozprysła się w tysiąc ciepłych iskierek. Jedna z nich wleciała w serduszko Zosi i prześwietliła blaskiem niebieskie oczy dziewczynki! Ach! Jak to było pięknie! Cały świat wraz ze skrzynką pocztową, tramwajami, oknami, z dziećmi idącymi do szkoły i śmiejącym się kominiarzem stanął w słonecznym, ciepłym blasku! W tej samej chwili... zielone szybki okien barometru zaświeciły jak kocie, figlarne oczy, mignęło pawie piórko przy tyrolskim kapeluszu, klapnęły czerwone trepki, ktoś zaśmiał się jakby pęk srebrnych dzwonków zadzwonił i.... Zosia chwyciła za róg poduszki.

Przez koronki i hafty firanek trysła fontanna słońca. Pęk promieni i błysków wystrzelił jak czarodziejska raca, a kołderka na łóżku wyzłociła się światłem.

Zosia skoczyła z łóżeczka i pobiegła do okna.

Rzeczywiście!

Na deszczułkę przed domkiem stoi roześmiane Słoneczne Oczko, uśmiecha się różową gębusią, gołe kolana z pod kusych porteczek wystawia, a z główki kapelusik z zielonem piórem zdejmuje, bo zaraz pokaże tabliczkę z napisem:



Dziś pogoda!

A Zocha najwyraźniej słyszy, że człowieczek w krasej kurtce śpiewa:

„Jestem człeczek z barometru  
Herbu „Uśmiech Słońca“  
Chcę, by słońko grzało wiecznie  
Zawsze i bez końca!

Nie zwycięży mnie sąsiadka  
Pani Ciotka Słota  
Bo silniejsze od niej słońce  
I pogoda złota!

Jestem imć Słoneczne Oczko  
Mam trzy jasne, grube loczki!  
Tra-la-la! Hej! Hej! Hej!  
Śmieję się ze mną, słońko, śmieję  
Dzwonię pękiem srebrnych dzwonek  
Grzej, kochane, dobre słońko!“

A Zosia jest pewna, że to wszystko działa się naprawdę, bo Słoneczne Oczko mruga na nią porozumiewawczo, jakby mówiło:

Masz szczęście, że Ci Księżyc wybaczył, moja panno!





1601 / B1



W TYM SAMYM NAKŁADZIE UKAZAŁY SIĘ:

1) **SPADAJĄCE GWIAZDY**

Obrazek z życia palestyńskiej szkółki.

2) **AMOS I ANTEK**

Opowieść o przyjaźni.

3) **SYNOWIE PUSTYNI**

Obrazek sceniczny na tle biblji w 2 odsłonach.

4) **LEGENDA O GOLEMIE**

Opowiadania.

5) **ZA WOLNOŚĆ I WIARĘ**

Obrazek sceniczny w 3 odsłonach.





19 LUT 1931

1601/21



---

»DRUKARNIA LWOWSKA«  
LWÓW, KOPERNIKA 11.  
TELEFON Nr. 831,

---

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001007933965